OPIEKUN DOMOWY

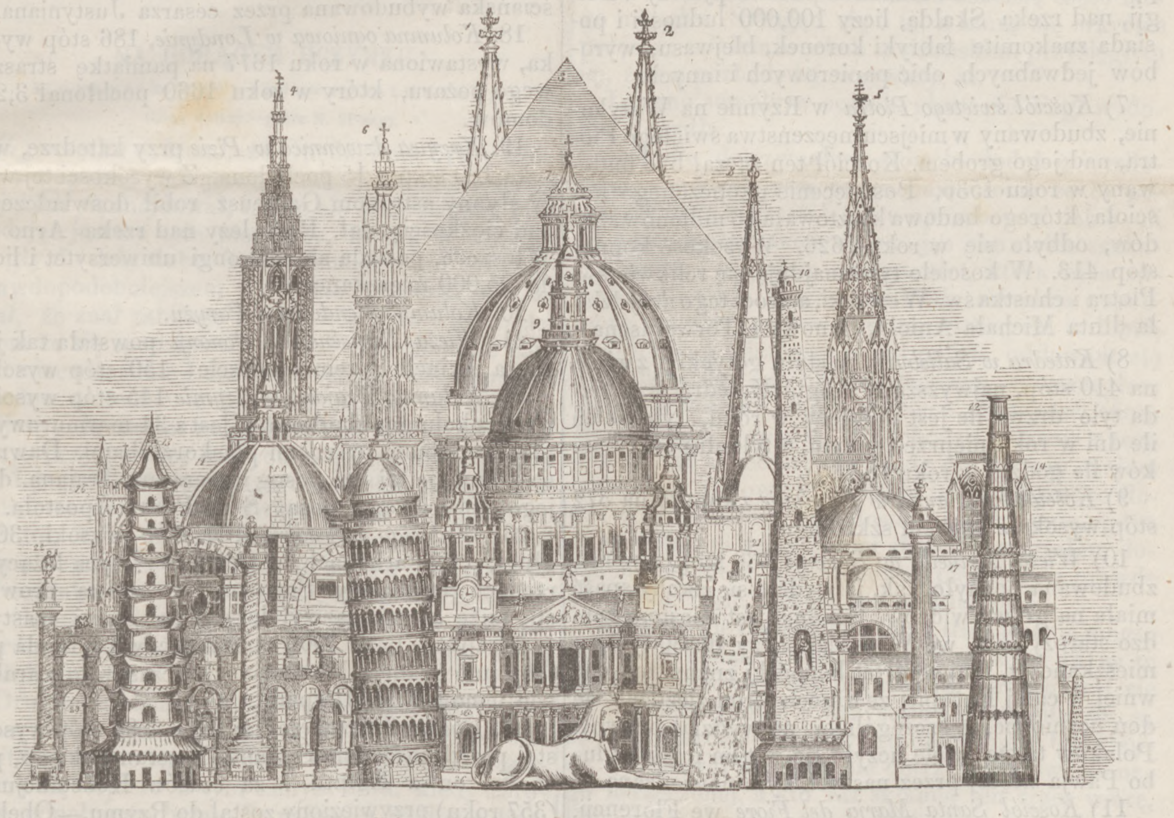
Warszawa dnia 22 Maja / 3 Czerwca 1868 roku.

Nr 22. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. 1. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok IV.

NAJWYŻSZE GMACHY.

Niewiadomo, czy jest to oznaką ducha ludzkiego wzbijanie się ciągłe wyżéj a wyżéj, dość że prawie wszędzie ludzie starają się wznosić budowle, wierzchołkami śmiało wznoszące się ku niebu. A może dnach morza, przebija góry i ptakom chce wydrzeć panowanie powietrzu—tak i dawniej, gdy wiedza jeszcze niedozwalała na takie jak dziś zdobycze, poprzestawał na wznoszeniu wysokich gmachów, klucąc się o lepsze z przyrodą.

Na załączonym obrazku macie ustawione obok



Najwyższe gmachy na kuli ziemskiej. (str. 170)

też ludzie chcieliby współzawodniczyć z przyrodą, która na powierzchni kuli ziemskiej spiętrzyła się po za chmury sięgające gór. Człowiek nie lubi być niższym—nie lubi być podwładnym przyrodzie, zawsze z nią walczy, ciągle stara się ją ujarzmić. — Więc jak dziś telegrafami, zapanował nad przestrzenią, drogami żelaznemi idzie z wiatry w zawody, kieruje piorunami według swej woli, spaceruje po siebie prawie wszystkie znakomitsze i największe gmachy na kuli ziemskiej. Zaczynają się one wistocie na piramidzie egipskiej i kończą na sfinksie egipskim. Ale przejdźmy je porządkiem, podług numerów zamieszczonych także na rycinie.

1) i 2) oznaczone są *wieże na Katedrze w Kolonji* w Niemczech, wieże te atoli nie są jeszcze ukończone a wysokość ich wymierzoną jak tylko na planie,

dla tego też niemożna wież tych nazwać najwyższemi gmachami—mogą być niemi po ukończeniu, ale dziś ustępują miejsca

3. *Piramidzie Cheopsa* mającej 554 stóp wysokości. Piramidy leżą w Egipcie wzniesione były na kilkanaście wieków przed Chrystusem i służyły za grobowce dla królów lub bożków tamecznych. Jest ich wiele, największa z pomiędzy nich jest właśnie piramida Cheopsa, dalej Chephrema wysoka na 466 stóp, w końcu Mycbrinusa wysoka na 190 stóp. — Wszystkie trzy leżą w bliskości miasta Memfis.

4) *Katedra świętego Szczepana* w Wiedniu ma wieżę na 444 stóp. Kościół należy do najpiękniejszych zabytków dawnej niemieckiej architektury, rozpoczęty w r. 1154 a skończony dopiero w dwieście lat; wieża zaś dopiero przed kilku laty do teraźniejszej swej wysokości doprowadzoną była. Katedra ta posiada prócz tego ogromny dzwon ważący 402 centnary, ulany z armat zabranych Turkom w roku 1711.

5) *Katedra Sztrasburska* wysoka na 442 stóp, także w staro-niemieckim stylu. Katedra ta założoną została 1015 roku, budowa trwała lat 260. W Katedrze tej są jeszcze słynne organy roboty Silbermana i wielki zegar astronomiczny. Sztrasburg leży we Francji, w prowincji zwanej Alzacją—i jest silną twierdzą, o pół mili od Renu.

6) *Katedra Antwerpska* 427 stóp wysoka, z przepysznemi obrazami Rubensa. Antwerpja leży w Belgji, nad rzeką Skaldą, liczy 100,000 ludności i posiada znakomite fabryki koronek, blejwasu, wyrobów jedwabnych, obić papierowych i innych.

7) *Kościół świętego Piotra* w Rzymie na Watykanie, zbudowany w miejscu męczeństwa świętego Piotra, nad jego grobem. Kościół ten zaczął być budowany w roku 1536. Poświęcenie ukończonego kościoła, którego budowa kosztowała 46 miljonów skudów, odbyło się w roku 1626. Wysokość kopuły stóp 413. W kościele tym znajdują się relikwie św. Piotra i chustka św. Weroniki, a prócz tego arcydzieła dłuta Michała Anioła, Canowy i Torwaldsena.

8) *Katedra w Salisbury*, w stylu gotyckim z wieżą na 410 stóp, najwyższą w Anglji. Katedra ta posiada tyle drzwi ile jest miesięcy w roku, tyle okien ile dni w roku nieprzestępnym, a tyle słupów i filarków ile godzin w roku (8,760).

9) *Kościół św. Pawła w Londynie* z kopułą na 372 stóp wysoką z dachem szklannym.

10) *Wieża Axinelli w Bononji* 330 stóp wysoka, zbudowana pochyło, tak, iż wydaje się jakoby spaść miała na głowy widzów. Bononja jest miastem bardzo starożytnem we Włoszech, liczy do 80 tysięcy mieszkańców. Uniwersytet bonoński znany był dawniej w całej Europie; ze wszech stron zjeżdżali się doń uczniowie, a szczególniej na wydział prawny. Polaków także wiele uczyło się w tym mieście; lubo Pawja więcej przez naszych była nawiedzaną.

11) *Kościół Santa Marja del Fiore* we Florencji, dzisiejszej stolicy Królestwa Włoskiego, z kopułą dochodzącą do 341 stóp wysokości.

12) *Wieża Katubillinar w Delhi*, w postaci kolumny na 243 stóp wysokiej. Kolumna ta cała zbudowana z granitu, liczoną jest do cudów Indji Wschodnich. Delhi bowiem jest to miasto indijskie liczące przeszło 300,000 mieszkańców, niegdyś stolica państwa Wielkiego Mogoła, a dziś miasto w prezydencji Allahabadzkiej, będącej własności Angielskiego królestwa, którego monarchowie od lat kilkunastu mianują się cesarzami Indji.

13. *Wieża porcelanowa w Nankinie* w Chinach, wysoka na 215 stóp, ośmiokątna, dzwonkami na okół obwieszona—pełno w niéj było bożyszcz i malowideł. Mówimy było, gdyż wierza ta w czasie wojny anglo-francuskiéj z Chinami, została niedawno zburzona, co wcale nie przemawia na korzyść europejskiéj cywilizacyi, a przynajmniéj europejskiego żołnierza. Wszelkie pomniki i przedmioty sztuki powinny być szanowane przez każdego nieprzyjaciela.

14. *Kościół Nôtre Dame w Paryżu* założony w roku 1163, wysoki na 204 stóp; posiada w chórze piękne obrazy Jerweneta, lewą ręką malowane.

15. *Most w Alkantarze* na Tagu w Hiszpanji zbudowany za czasów cesarstwa rzymskiego w cześć casarza Trajana. Same łuki tego mostu są 150 stóp wysokie.

16. *Katedra Ś-go Piotra w Jorku* (York), wysoka na 196 stóp, w stylu gotyckim, najpiękniejszy z kościołów w Anglji. Posiada on między innemi organy o 3,234 piszczałkach jedne z największych w Europie; i okno główne od strony wielkiego ółtarza, największe w całym świecie, gdyż ma 38 łokci wysokości a 16 szerokości i zawiera na szkle malowanyoh 117 obrazów historji swiętéj.

17. *Meczet Aja Sofja w Konstantynopolu* (w ogrodzie) wysoki na 190 stóp, dawniéj katedra chrześciańska wybudowana przez cesarza Justyniana.

18. *Kolumna ogniowa w Londynie*, 186 stóp wysoka, wystawiona w roku 1677 na pamiątkę straszliwego pożaru, który w roku 1660 pochłonął 3,200 domów.

19. *Krzywa dzwonnica w Pizie* przy katedrze, wysoka 180 stóp a 15 pochylona. Z wysokości tej wieży słynny astronom Galileusz robił doświadczenia nad ciężkością ciał. Piza leży nad rzeką Arno we Włoszech, posiada sławny ongi uniwersytet i liczy do 25,000 mieszkańców.

20. *Kolumna Vendôme w Paryżu.*

21. *Wieża Larisenda w Bononji* powstała tak jak wieża Axinelli w temże mieście—150 stóp wysoka.

22. *Kolumna Trajana w Rzymie* 145 stóp wysoka. Cała ta kolumna zbudowaną jest z 34 marmurowych płyt i ozdobiona pysznemi płaskorzeźbami. Dawniej na kolumnie tej stał posąg imperatora Trajana, dziś jego miejsce zajął posąg S-go Piotra Apostoła.

23. *Wodociąg w Segowji* 102 stóp wysoki, 3000 długi, o 159 arkadach, w trzech nad sobą leżących rzędach zbudowany. Segowja jest stolicą prowincji tejże samej nazwy, leżącej w starej Kastylji w Hiszpanji, liczy 7000 mieszkańców i posiada pyszny tum i zamek Maurytański, z czasów gdy arabowie panowali w Hiszpanji.

24. *Obelisk Lateraneński w Rzymie* 99 stóp wysoki stoi przed kościołem S. Jana Lateraneńskiego, pochodzi on z Egiptu i za czasów Konstancjusza (357 roku) przywieziony został do Rzymu.—Obelisk jest to wysoka z jednego kamienia wykuta kolumna ku górze zwężona. Obeliski wyszły z Egiptu a tam służyły jako pomniki, na których ścianach umieszczane były napisy świadczące o czynach zmarłych.

25. *Obelisk luksorski w Paryżu* na placu *de la Concorde* przywieziony w roku 1831 z Egiptu jako podarunek Wice Króla Egiptu Mehemed-Alego.

26. *Sfinks w Memfis w Egipcie* stoi między piramidami, ma długości 117 stóp a wysokości 40. Sfin-

ksy są to pomniki egipskie z kamienia wykute w postaci lwa z ludzką głową. Były one symbolem króla i stały na straży przy wejściu do przedsionków świątyń. Sfinksów w Egipcie jest bardzo wiele, ale największy z nich jest Memfiski.

MIŁOŚĆ! MIŁOŚĆ!

(z Petöfiego)

Oh miłości! oh miłości!
Tyś loch ciemny... w nocną ciszę
Ja weń wpadłem, i w ciemności
Nic nie widzę i nie słyszę.

Pasterz ojca mego trzody,
Nie uważam gdzie się pasie;
Jeśli włazi gdzie do szkody,
To spostrzegam poniewczasie.

Matka mi włożyła jadła
Do mej torby, gdym szedł w pole,
Szczęściem torba gdzieś przepadła...
Jeść się nie chce, pościć wolę.

O mój ojcze! matko droga,
Z trzodą rady nie dam sobie,
Nie gniewajcież się na Boga,
Bo ja nie wiem nic co robię.

Wołody Skiba.

NA GORĄCYM UCZYNKU.

Kartka z kroniki kryminalnej.

(Ciąg dalszy.—patrz N. 21-szy).

Z początku sądzono, że Opędzki nie byłby zdolnym popełnić zabójstwa w takich okolicznościach w jakich się znajdował, mając się żenić bogato, i posiadając jeszcze tyle pieniędzy, że mu wystarczyć mogły do dnia ślubu. Teraz uznano, że to było najprawdopodobniejszem w świecie. Opędzki sam zeznał, że znał zabitego z widzenia, było więc możebnem że się spodziewał, iż przy nim znajdzie bardzo znaczną sumę i dla tego zbrodni się dopuścił! Trudno mniemać, żeby mógł sądzić że znajdzie miljony, ale zawsze mógł liczyć na kilkadziesiąt tysięcy, przy pomocy których mógłby jeszcze poczekać i poszukać świetniejszegó związku, jak ten który zawrzeć zamierzał. To go mogło popchnąć do zbrodni, która w tem przypuszczeniu mogła być nawet obmyślaną oddawna, co znowu zgadzało się jak najdokładniej z domysłami, które dotyczyły noża. Oszukał się na tej zbrodni, znajdując przy zamordowanym kwotę stosunkowo dość małą, ale ją spełnił.

Drugim faktem było to, że Opędzki gdyby był winnym nie byłby się przyznawał do znajomości zabitego, ani do tego, że złoto które posiadał dostało mu się dopiero w tym samym dniu, kiedy zbrodnia popełnioną była. To najmniej trudnem było do wytłumaczenia. Przyznawał się, że pieniędzy nie miał poprzednio dla tego, że się bał, aby śledztwo sądowe nie wykryło, że wciągu dnia nie mógł mieć przy sobie złota, aby zaś dać sobie pozór prawdomówności mówił, że zna zamordowanego z widzenia, choć nie wie co za jeden i jak się nazywa, co także było zapewne tylko wykrętem, bo niepodobna, żeby o nim więcéj nie wiedział.

Trzeci nareszcie, najważniejszy może dowód jego niewinności, ta nader zręcznie przez niego podana okoliczność: że człowiek, który nosił pojedynczego dukata w kieszonce od kamizelki, nie mógł prawdopodobnie mieć przy sobie więcéj złota, utrzymać się już teraz nie mogła. Złoto było znaczone; więc je miał. Jeżeli jednego dukata w kieszonce znaleziono, to dowodzi tylko, że zbrodniarz przygotowując sobie obronę na przypadek schwytania, sam tam włożył sztukę. Gdyby był niewinnym, nie przyszłoby mu na myśl bronić się w ten sposób, chyba adwokat jego wpadłby na to przypuszczenie. Opędzki zrobił je sam, bez długiego namysłu, prawie natychmiast, to dowód że je sobie przygotował.

Jesteśmy najmocniej przekonani, że i czytelnicy nasi, gdyby byli na miejscu sędziów, potępiliby naszego bohatéra i nazwaliby nędzną bajką całe jego późniejsze tłumaczenie.

Opędzki widząc że się poszlaki na niego gromadzą, i że stają się zatrważająco silnemi, bronił się w sposób, którego prawdopodobieństwa uznać niebyło podobna.

—Panowie,—mówił,—w obec strasznego zarzutu jaki na mnie ciąży, zarzutu, który fatalność coraz nowemi a wymowniejszemi poszlakami popiera, zmuszony bronić się, ze wstydem przyznaję się do brzydkiej wady, którą przed wami utaić chciałem, którą chciałem ukryć przed światem. Mam namiętność do gry, która pochłaniała znaczną część mego majątku. Starając się o tę, z którą się wkrótce połączyć miałem węzłem małżeńskim, przysięgłem jej, że się pozbędę tej przywary, i...

Łzy mu stanęły w oczach, głosu nie mógł wydobyć z gardła.

— I nie dotrzymałem słowa!—dodał z wysileniem,—za każda razą przysięgając sobie że to poraz ostatni, korzystałem ze sposobności jakie mi się nastręczały, jakich okłamując sam siebie szukałem może, i ulegałem namiętności, która była silniejszą odemnie. Tego dnia kiedy zbrodnia popełnioną została, znajdowałem się wieczorem w domu, w którym, w tajemnicy przed policją, oddawano się grze hazardownej. Wchodząc tam spostrzegłem owego człowieka, który wkrótce miał paść ofiarą straszliwego wypadku. Wychodził właśnie z tego domu. Był to jedyny raz kiedy go w życiu mojem widziałem. Człowiek ten mógł tam przegrać to złoto i tym sposobem ono dostało się do mnie, gdyż tego wieczora szczęście mi służyło, wygrałem dosyć wiele, alem nie rachował pieniędzy i prawdę mówiłem ciągle, zawsze, we wszystkiem.

Któż się nie domyśli, że takie tłumaczenie mogło tylko zaszkodzić Opędzkiemu, bez względu na to czy było fałszywe czy prawdziwe. Przyznawał się do złej namiętności, a wszystkie złe namiętności są ze sobą pokrewne. Kto był graczem, mógł być zbójcą. Wyznawał dalej, że nie dotrzymał słowa danego narzeczonej, a kto raz skłamie ten traci wiarę, kłamał przed narzeczoną, mógł kłamać przed sprawiedliwością. Zresztą, gdyby nawet przyjąć to tłumaczenie, wszystko się w niem opierało na przypuszczeniach. Nie było dowodu, żeby zamordowany przegrał tam rzeczywiście pieniądze.

— Uznasz pan sam,—odpowiedział mu na to wyznanie inkwirent,—że tej historyi na gołe słowo pańskie uwierzyć nie możemy i nie mamy prawa. Wymień nam pan wyraźnie miejsce w którem grałeś, a w takim razie dalsze śledztwo wykaże o ile pańskie zeznanie jest prawdziwe.

— Tego uczynić nie mogę,—odpowiedział stanowczo Opędzki.

— Dla czego, panie?

— Zeznanie moje naraziłoby na odpowiedzialność ludzi, u których się znajdowałem.

— Dziwna skrupulatność!... zostając pod najstraszliwszym zarzutem, osłaniać od odpowiedzialności stosunkowo niewielkiej, ludzi żyjących z łapania łatwowiernych na wędkę, kryminalistów, jednem słowem.

— O ile mi wiadomo, w domu tym nie trudniono się szulerstwem, oskarżać i donosić nie mam prawa.

— Więc pan gry, jeżeli nie jest połączoną z oszukaństwem, nie uważasz za rzecz niemoralną i zdrożną?...

— Jakakolwiek jest w tym względzie moja opinja, dziś może różna od tej jaką miałem kiedym tam chodził, w każdym razie zeznanie jakiego tu pan żądasz należy do takich których czynić nie mogę.

— To stanowcza i ostateczna odpowiedź?

— Stanowcza i ostateczna.

— Szkoda! — westchnął urzędnik, szczerze żałując obwinionego, dla którego już nie było ratunku,—jeżeliś pan miał na tem skończyć swoje zeznanie lepiej go było nie zaczynać. Postaw się pan sam w położeniu sędziów, którzy cię sądzić będą, i powiedz jakibyś wyrok wydał?...

— Sędziowie są ludźmi, więc się mylić mogą, i gdybym znał tę sprawę tak jak ją fatalność przedstawia mógłbym się omylić jak oni,—gdybym jednakże tak był przeświadczonym o niewinności obwinionego, jak jestem przekonany o mojej, wyrok mój mógłby go tylko uniewinnić.

— Nieszczęście że pan nie możesz lub nie chcesz nic uczynić, ażeby w nich wlać to przekonanie.

Obwiniony się spostrzegł, że niepotrzebnie chwycił się tego systemu obrony, który go tylko jeszcze bardziej potępiał.

Dwie były drogi do wyjścia z tego położenia, obie jednakże nic mu już pomódz nie mogły, albo cofnąć zeznanie i nic już więcej w tym przedmiocie nie mówić, co utwierdziłoby podejrzenie, że się chciał bronić bajką, albo brnąć dalej i powiedzieć wszystko o co go pytano. Ta druga droga była niby na pozór bezpieczniejszą i korzystniejszą, w istocie jednak była jeszcze gorszą. Gdyby powiedział gdzie był, ów dom potajemny, przypuszczając iż prawdę mówił, że złoto tam wygrał, nie dawałoby tu jeszcze żadnego dowodu, mogącego walczyć z poszlakami tak potężnemi. Najprawdobniejszem by było nawet, że ci, którychby tym sposobem oskarżył, chcieliby zwalić winę na niego i wyparliby się wszystkiego w oczy mu zarzucając kłamstwo. Być może, że przy sędziach pozostałoby moralne przekonanie, iż ludzie na których się powoływał, rzeczywiście utrzymują zakład szulerki, lecz w takim razie charakter Opędzkiego jako donosiciela spadłby jeszcze w ich przekonaniu.

Bohatér naszego opowiadania długo się namyślał jak postąpić, i uznał widać za najbezpieczniejszą drogę pośrednią. Pozostał przy swem zeznaniu, nie odwołując go ani nie zmieniając i w niczem nie myśląc go uzupełniać.

Ten obrót śledztwa przygniótł go i złamał. Dotąd w swej celi był spokojnym, starał się rozrywać i skracać sobie czas, teraz zamyślony, długie godziny przepędzał nieruchomie, medytując, jak widać, nad środkami ratunku, który mu się wydawał niepodobny.

Upłynęło znowu kilka tygodni. Znikąd najmniejsze nowe światło nie spływało na tę sprawę, o co zresztą nie troszczono się bardzo, uważając ją za rozjaśnioną dostatecznie. *(d. c. n.)*

POGADANKI EKONOMICZNE.

O tworzeniu bogactw czyli produkcji.

IV.

O PODZIALE PRACY.

Pierwszą produkcyjną pracą człowieka, jakeśmy to wykazać mieli sposobność w poprzedniej naszej pogadance, *jest praca około ziemi*. Płody ziemi tak niezbędne do utrzymania życia fizycznych jego potrzeb, są właśnie owocami tych trudów, które przy jej uprawie ponosi. Samo już jednak uprawianie ziemi, wymaga *rozdzielenia* czyli *podziału pracy*. Widzimy bowiem, iż w najmniejszem nawet gospodarstwie trudno jest aby jeden i ten sam człowiek wszystkie wykonywał roboty, i nie jest możebnem aby jeden i ten sam człowiek równie dokładnie i dobrze mógł wszystkie roboty wykonywać. Czyż można żądać, aby jeden człowiek równo-cześnie był dobrym rolnikiem, dobrym cieślą, dobrym kołodziejem, dobrym bednarzem, dobrym kowalem, i t. d.? Nie, byłoby to za wiele żądać od jednego człowieka. A jednakże, wszystkie tu wyliczone rzemiosła i wiele innych, równie ważnych, trzeba umieć, chcąc wyprodukować, dajmy na to: kopę pszenicy, lub korzec kartofli. Niech nam tu posłuży za przykład najskromniejsza wiejska zagroda: przypuśćmy iż przestrzeń jej ogranicza się do paru mórg ornego gruntu i trocha łąk, i że jej mieszkańcy mają jak najmniejsze potrzeby. Otóż, trudno uwierzyć od razu, ile potrzeba było pracy, ile starań i trudów aby uprawić i zasiać tę parę mórg gruntu, zebrać trochę siana i zaspokoić w ogóle potrzeby ubogiej rodziny, zamieszkującej zagrodę. I zdziwimy się, powtarzam, gdy sobie weźmiemy pod rozwagę: ile to rąk pracować musiało, aby wystawić skromną chatę, obórkę, stajenkę, w której się mieści uboga rodzina i cały jej dobytek! Wszystko tam jest najprostsze, ubogie, nędzne nawet, a ileż jednak tam jest pracy ludzkiej.

Zaczynając od domku mieszkalnego, przekonamy się: że najmniej kilku rzemieślników pracowało nad jego wystawieniem. I tak, cieśla powiązał ściany i postawił wrąb; stolarz porobił okna, drzwi i podłogi; gonciarz dostarczył materjału na dach; szklarz wprawił szyby; kowal dostarczył gwoździ i okuć; nakoniec mularz postawił komin i piec który całą chatę ogrzewa. A każdy z tych rzemieślników wykonał swą robotę szybko i dokłabnie, tak iż dom jest trwały i wygodny, każdy z nich bowiem obeznany gruntownie z swoją robotą, wykonywał ją zręcznie i dobrze, gdy tymczasem, oddawszy te wszystkie roboty jednemu człowiekowi, w żaden sposób nie byłby on w stanie wykonać ich ani tak spiesznie, ani tak dokładnie, jak tamci. Nie mówimy tu już o stracie czasu jakaby wynikła, gdyby jeden człowiek te wszystkie prace zmuszony był wykonywać.

Przeszedłszy z domu na sąsiednie pole, również się przekonamy, że tam podział pracy jest konieczny, jeśli chcemy aby to pole jakikolwiek nam plon wydało. Jeśli zaś ten plon czyli zebrane zboże chcemy użyć na żywność dla człowieka zagrody i jego rodziny, musimy je posłać do młyna, aby je tam zmielono na mąkę zdatną na chleb, co także stanowi zupełnie różne zajęcie od tych wszystkich

któreśmy wymienili wyżej. Nim więc zboże zasiane na polu należącem do zagrody użytem zostanie na pokarm w kształcie mąki, chleba, lub kaszy, ileż ludzi pracować musi aby je uzyskać, jak różne są roboty przy tym całem przebiegu wytwarzania, a wszak to jest najprostsze, najkonieczniejsze wytwarzanie, bo wytwarzanie przedmiotów pierwszej potrzeby do życia: *zboża* czyli *chleba*. Jeśli zaś dalej poprowadzimy ten przykład podziału pracy i zechcemy go zastosować do innego szeregu potrzeb, to znajdziemy tenże sam podział pracy w daleko wyższym jeszcze stopniu i nieporównanie więcej rozwiniętym w wytwarzaniu prawie równie ważnem jak wytwarzanie zboża, to jest w produkcji czyli wyrabianiu *odzienia*. Zabezpieczenie się od zimna lub innych wpływów powietrza jest równie ważnem dla człowieka jak zabezpieczenie od głodu. Bez odzienia człowiek tak samo nie mógłby wyżyć jak i bez chleba, zwłaszcza w północnych klimatach. Ubranie więc stanowi po żywności i mieszkaniu jedną z najgłówniejszych potrzeb życia. Weźmiemy ten sam przykład, to jest właściciela ubogiej zagrody i jego rodzinę i chociaż będą to ludzie którzy pod względem ubrania i sukien ograniczać się muszą do odzieży najskromniejszej, nie mniej przekonamy się, iż gdyby *jeden* człowiek podjął się dostarczyć im skromnego ich przyodziewku, byłoby to zadanie nad jego siły. I tak, sukmana okrywająca samego właściciela zagrody, choć zrobiona z jak najgrubszego i najordynarniejszego materjału, jest wełnianą lub płócienną. Przypuśćmy iż jest wełnianą. Ileż zmian, ile kształtów musiała przejść ta wełna nim się stała suknem, z którego tę sukmanę uszyto; ileż ludzi przy tem pracowało aby z brudnej i zakurzonej wełny wyrobić materjał zdatny na wygodne i ciepłe okrycie. Od pasterza zacząwszy który hoduje i pasie owce wydające wełnę, a skończywszy na krawcu który ubranie wykroił i uszył; iluż ludzi zajętych było przeróbką i przygotowaniem surowego materjału (jakim jest w naszym przykładzie wełna) i zamienieniem go na sukno, to jest na materjał zdatny do praktycznego użycia; przez ile rąk przejść musiał ten surowy materjał, ile maszyn musiało go oczyszczać, prząść, zwijać w nici, strzydz, kolor nadawać, nim się w postaw sukna zamienił. Z jak różnych stron świata sprowadzanemi być musiały wszystkie pomocnicze materjały, konieczne do przerobienia wełny na sukno; gdybyśmy szczegółowo wyliczać chcieli jaka rozmaitość a zarazem i ogrom pracy ludzkiej wchodzi w fabrykacją najmniejszego na pozór przedmiotu, jak w naszym przykładzie: sukna, i ile przeróżnych zachodów wymaga prowadzenie choćby najnieznaczniejszej fabryki, jak są tam urozmaicone i do siebie niepodobne prace, chociaż wszystkie dążą w jednym kierunku (np: do wyrobienia sztuki sukna), to nabierzemy przekonania, iż robienie tak zwyczajnej rzeczy, jaką jest prosta wiejska sukmana, byłoby przedmiotem niemożebnym do osiągnięcia na świecie, gdyby ją *jeden* człowiek chciał sporządzić wyłącznie; gdy tymczasem jest to rzecz najłatwiesza i nader pospolita, gdy się do niej kilku lub kilkunastu weźmie ludzi. Wtedy zfabrykowanie takiej sukmany nie przedstawia żadnej trudności. Ubranie właściciela zagrody nie ogranicza się jedynie do sukmany, ma on płócienną koszulę i spodnie, czapkę, buty. Te wszystkie przedmioty są mu również potrzebne jak i zwierzchnie okrycie, do wyrobienia jednak i wygotowania tych wszystkich części ubioru, użytymi być musieli rozmaitych rzemiosł ludzie: tkacz zrobił płótno na koszulę i spodnie, czapnik uszył przykrycie głowy, szewc buty, a tym znowu rzemieślnikom, rolnik i pasterz dostarczyć musieli surowych materjałów, z których ci ostatni wygotowali przedmioty zdatne do użytku. Tak samo rzecz się ma z ubraniem reszty rodziny, z tą tylko jeszcze różnicą że ilość użytej pracy przy wyrobieniu bawełnianych sukienek lub chustek, jakiemi się okrywają żona i dzieci właściciela zagrody, jest nieporównanie większą.

Sprzęty i narzędzia domowe jakie się w zagrodzie służącej nam za przykład znajdują, chociaż są najprostsze bo z drzewa, miedzi, żelaza lub gliny zrobione, są także owocem pracy wielu ludzi trudniących się oddzielnemi zajęciami. Już te same wyrazy miedź, żelazo, glina, każą nam się domyślać, jak różnorodne wchodzą żywioły w skład produkcji, czyli fabrykacji tych przedmiotów. Przygotowywanie zaś samych surowych materjałów, jakiemi są żelazo lub glina, wyradza oddzielne gałęzie produkcji, którym się różni ludzie oddają, jak naprzykład górnicy, gisiarze, garncarze, strycharze, i t. d. Jednem słowem, streszczając przytoczone tu przykłady podziału pracy, jak na najszczuplejszem polu jakiem jest zagroda ubogiego człowieka i potrzeby jego rodziny, możemy śmiało oświadczyć, iż podział pracy, jest *koniecznym warunkiem* i *najpierwszym czynnikiem wszelkiej produkcji*. A jeślibyśmy chcieli zasadę tę przenieść na obszerniejsze pole, to jest zastanawiać się nie nad jedną skromną zagrodą, lecz nad całą wioską, miastem lub krajem, to przekonamy się, że co prawdą jest w szczupłem kole potrzeb pojedynczego człowieka, będzie więc tem więcej w olbrzymim zakresie potrzeb zamożnego i ludnego miasta, lub wielkiego ucywilizowanego kraju. W zaspokojeniu wymagań liczniejszej i zamożniejszej ludności, ktorej potrzeby i środki do ich zaspokojenia są nieporównanie większe, w miarę rozwijającego się przemysłu i dobrobytu, niepodobna już w żaden sposób obyć się bez *bardzo szczegółowego* podziału pracy. Łatwo bowiem zrozumieć że podział pracy ogranicza się *do obszerności miejsca z bytu tejże pracy*. To jest, że odpowiednio do żądania jakie kto ma na swoją pracę, czyli na wyrób ze swej pracy, zmniejsza ją lub powiększa, ogranicza lub pomnaża wyroby z niej pochodzące. I tak, jeżeli w ubogiej wiosce, jeden człowiek może być zarazem kowalem, i stelmachem, ślusarzem, kołodziejem, gdyż z jednego wyłącznie zatrudnienia nie byłby się w stanie utrzymać, to w dużem i bogatem mieście, wszystkie te professje z pewnością będą wykonywane oddzielnie, gdyż skutkiem licznych mieszkańców, mających jedne i te same potrzeby, nie jeden kowal, ślusarz, stelmach jest potrzebny, lecz kilku lub kilkunastu nie może zaspokoić wymagań mieszkańców, i jeszcze każdy z nich na swe wyroby łatwy znajduje odbyt.

Nigdzie jednak prawo ekonomiczne podziału pracy, lepiej nam się nie uwydatni, jak w niektórych gałęziach przemysłu fabrycznego. Że podział pracy jest niezbędnym warunkiem postępu w przemyśle, to nas wymownie przekonywa ta okoliczność: iż gdzie tylko podział pracy z natury rzeczy jest trudniejszym do zastósowania, tam rozwój i postęp jest wolniejszy. Porównajmy rolnictwo po wsiach i przemysł fabryczny po miastach. Rzeczą jest wiadomą iż w rolnictwie, szczegółowy podział pracy najtrudniej zastósować się daje, gdy tymczasem w fabrykach i rękodzielniach podział pracy jest przeprowadzony w najdrobniejszych nawet szczegółach (jak to okażemy niżej). Otóż rolnictwo, chociaż jest najważniejszą gałęzią ogólnej produkcji, dla tego właśnie iż nie może w swojej dziedzinie tak drobnostkowo zastósować podziału pracy o tyle niżej stoi od przemysłu fabrycznego. W przemyśle postęp jest szybki i ciągły, w rolnictwie nieznaczny i powolny. I jakkolwiek rolnictwo dźwiga się i wznosi, dzięki wytrwałym usiłowaniom, to wszakże przemysł fabryczny wznosi się nieporównanie prędzej i widoczniej.

Kto choć cokolwiek obeznanym jest z rolnictwem, ten wie, że gospodarstwa folwarcznego, tak jak fabryki prowadzić nie można, że w niektórych tylko razach dadzą się tam zaprowadzić roboty wydziałowe, w innych zaś, podział pracy, jest zupełnie niemożebnym. Że jeden i ten sam ro-

botnik musi wykonywać w ciągu dnia kilka oddzielnych robót, gdy tymczasem w fabryce, ten wypadek, prawie nigdy nie ma miejsca. A łatwo pojąć, że kto się jednemu tylko zatrudnieniu poświęca, ten w krótkim czasie nabiera w niem wielkiej wprawy i zręczności. Przedmiot przez takiego robotnika wykonany, jest dobry i trwały, kosztuje mało czasu i może być niedrogo sprzedany. Ztąd też ten tak uderzający postęp we wszystkich wyrobach przemysłu, i w ogólności we wszystkiem co się produkuje po miastach i fabrykach.

Pozwalamy tu sobie przytoczyć jeden uderzający przykład, do jak wysokiego stopnia podział pracy może być doprowadzony, wyjęty z dzieła najznakomitszego ekonomisty, a noszącego tytuł: ,,O bogactwie narodów."

Mowa jest o fabrykacji szpilek: ,,Nie ma na pozór drobniejszego i zwyczajnieszego przedmiotu jak szpilka, zobaczmy jednak ile potrzeba pracy, aby wyrobić to małe wprawdzie, lecz tak użyteczne narzędzie.

,,Robotnik nieprzyzwyczajony do tego rodzaju zajęcia, jakie już przez *podział pracy* w fabryce wprowadzonem zostało, a które już przez to samo stało się osobnem rzemiosłem, i który to robotnik oprócz tego nie umie się posługiwać odpowiedniemi narzędziami, które także skutkiem podziału pracy wynalezionemi zostały, taki robotnik choćby był najzręczniejszy, nie zrobiłby może nawet jednej szpilki na dzień, a w każdym razie nie zrobiłby ich więcej jak jaki tuzin. Otóż obecnie, gdy w tego rodzaju fabrykacji, to jest w wyrabianiu szpilek, podział pracy znajduje obszerne zastósowanie, nie tylko cała robota stanowi osobne rzemiosło, lecz każda jej część jest oddzielną gałęzią, a te gałęzie znowu dzielą się na osobne zajęcia. I tak: jeden robotnik *ciągnie* nitkę metalową z której się szpilki robią, drugi ją *zaokrągla*, trzeci ją *przecina*, czwarty ją *ostrzy*, piąty *ogładza* ten koniec do którego ma być przyczepiony *łepek*. Sam łepek wymaga trzech lub czterech osobnych operacij. *Wycinanie* łepków jest oddzielnem zajęciem, *pobielanie* szpilek także, a nawet robienie *dziurek w papierze*, i *przytwierdzanie* w nim szpilek, powierza się oddzielnym robotnikom (zwykle dzieciom). Jednem słowem tak *wielka* praca, jaką jest zrobienie szpilki, dzieli się na *ośmnaście* oddzielnych operacij, z których do każdej z osobna inny używa się robotnik.

,,Tym sposobem, chociaż fabryka, o której tu mówimy, była uboga i nie we wszystkie potrzebne narzędzia zaopatrzona, jednak, gdy się wzięto dobrze do roboty (wszystkich robotników było dziesięciu) wyrabiano około dwunastu funtów szpilek dziennie; a że każdy funt zawierał przeszło *cztery tysiące* szpilek średniej wielkości, przeto 10 tych robotników wyrabiało więcej niż 48,000 sztuk szpilek, co licząc po jednej dziesiątej części na każdego, wypadnie przeszło 4000 szpilek dziennie. Gdyby zaś byli pracowali osobno i nie dopomagali sobie wzajemnie i gdyby nie mieli dostatecznej wprawy, niewątpliwie ani jeden nie byłby więcej zrobił jak dwanaście szpilek, a kto wie, nie byłby może zrobił ani jednej, gdy tymczasem, skombinowawszy razem swoją pracę, zrobili daleko więcej niż można było przypuszczać, a to wszystko skutkiem *dobrze zastósowanego podziału pracy*."

Konstanty Wzdulski.

CZARODZIEJSKA DOLINA.

(*Ciąg dalszy*,—patrz Numer 21-szy).

Jak to jednak powiedziałem, trudno było znaleść drzewa, w którem pracowite te owady siedlisko swe obrały. Możnaby to w prawdzie zrobić, badając ściśle każde drzewo oddzielnie, ale czyliż podobna było zbadać tysiące drzew? Żaden prawdziwy łowca pszczół w ten sposób nie postępuje. Ciekawiśmy tedy byli jak sobie postąpi Paweł, który uporczywe w tej mierze zachowywał milczenie. Przyrządy które zabrał z sobą były bardzo proste: składały się one ze szklanki, czaszki z syropem klonowym, oraz kilku pęczków sierści białej królika.

— Na co to jemu? pytał Boleś.

Ale Paweł milczał i widocznie nie miał ochoty wyjawić swego sekretu.

Przybyliśmy na dość obszerną łąkę wśród gaju, gdzie Paweł miał rozpocząć swe operacje, którym z nadzwyczajnym przypatrywaliśmy się zajęciem. Naprzód zdarł kawał kory z uschłego pnia, który się znajdował z jednej strony łąki, i wygładziwszy to miejsce nożem, wylał na nie kilka kropel syropu. Poczem poszedł szukać pszczół, a znalazłszy jednę w kielichu jakiegoś kwiatu, nakrył ją zręcznie szklanką i postawił na miejscu gdzie syrop był rozlany, w ten, ma się rozumieć, sposób, aby pszczoła nie uciekła, t. j. dnem do góry. Gdy owad zaczął chciwie spożywać syrop, Paweł zdjął szklankę, a ująwszy zręcznie pszczołę, jakby opojoną syropem w palce, przyczepił do lepkich jej nóg jeden włosek, i znowu posadził ją na drzewie, ale już na suchem miejscu. Owad, widząc się wolnym, zerwał się po chwili i wzleciał prosto w górę, przynajmniej na czterdzieści stóp, poczem zaczął latać w koło, jakby szukając drogi. Wreszcie poleciał prosto do lasu, a my zdążaliśmy za nim, lubo wkrótce znikł nam z oczu, pomimo białego włoska. Teraz wiadomy był kierunek w którym się znajduje cały rój pszczół, ale nie dość tego jeszcze było, bo kto mógł oznaczyć z precyzją jak daleko w tej linji pomieniony rój się znajduje? Może o dwieście kroków, a może o kilkaset sążni.

Wiedział o tem doskonale Paweł; to też nie wachając się ani chwili, oznaczył na drzewach kierunek lotu pszczoły, zostający w jednej linji z punktem jej wyjścia. Następnie o dwieście jakich kroków od pierwszego drzewa, złapał w ten sam sposób jak wyżej drugą pszczołę i puścił ją wolno. Ale zwielkim zdziwieniem ujrzeliśmy, że pszczoła poleciała zupełnie w inym kierunku aniżeli pierwsza.

— To nic, rzekł Paweł—a nawet to jeszcze lepiej, bo co dwa drzewa z miodem, to nie jedno.

Oznaczywszy znowu kierunek lotu tej pszczoły, złapaliśmy i puściliśmy trzecią, która także w odmiennym polecjała kierunku.

— Panie, zawołał Paweł, oto już trzecie drzewo z miodem!

Czwarta wreszcie pszczoła, widocznie należeć musiała do tego samego roju co pierwsza, bo w tym samym jak tamta poleciała kierunku.

Tym sposobem mogliśmy już na pewno trafić do drzewa z rojem, mając wytknięte dwie drogi: w punkcie ich zetknięcia, oczywiście musiało się znajdować pomienione drzewo. Co do dwóch drugich kierunków, zbadanie tych ostatnich pozostawiliśmy na inny dzień.

Tymczasem nic innego nam nie pozostawało, jak trzymając się z najściślejszą akuratnością obu rzeczonych linij, postępować jednocześnie jedną i drugą, aż do punktu, w którym się te linje skrzyżują. Nie było to jednak rzeczą tak łatwą do urzeczywistnienia, bo linje przecinały się w lesie, a las był gęsty i wysokopienny. Udało się wszelako Pawłowi pokonać te trudności, i po niejakimś czasie zdawało się nam, że stoimy w miejscu kędy się obie linje przecinają. Było to o sto kroków od łąki.

W miejscu tem znajdowało się kilka drzew, którym uważnie i my i Paweł zaczęliśmy się przepatrywać. Wreszcie krzyk tego ostatniego zapowiedział nam, że trudy nasze pomyślnym uwieńczyły się rezultatem.

Gniazdo, czyli raczej otwór doń wiodący, znajdowało się prawie u szczytu wysokiego sykomoru, jak to mogliśmy zauważać z wlatających i wylatających zeń pszczół. Drzewo było bardzo grube, wypruchniałe wewnątrz u spodu, tak że człowiek mógł się w tem pogrążeniu ukryć. Prawdopodobnie pszczoły urządziły sobie ul w górnej części tego ostatniego.

Ponieważ bardzo wiele czasu spędziliśmy na wyszukiwaniu gniazda pszczół, a dzień miał się już ku schyłkowi, przeto umyśliwszy nazajutrz ściąć drzewo i wybrać miód, wróciliśmy na noc do domu.

Nazajutrz tedy zaopatrzeni w palta ze skóry jeleniej, w takież maski i rękawice, które pozwalały nam śmiało stawić czoło wszystkim pszczołom na świecie, udaliśmy się ku wiadomemu drzewu. Podnosząc w górę głowy zauważaliśmy jakieś nie zwykłe poruszenie w kolonji pszczół: jedne z nich brzęcząc latały koło drzewa, inne to wlatywały, to wylatywały z otworu.

— Panie, rzekł Paweł—bacznie przyglądając się drzewu, zdaje się, że one są zaniepokojone obecnością jakiegoś nieprzyjaciela.

Ale nie widzieliśmy żadnego zwierzęcia nigdzie dokoła, a resztą otwór miał zaledwie trzy cale średnicy, a wiedzieliśmy, że żadne z mniejszych zwierząt ani zbliży się nawet do roju. Jakażby więc była przyczyna tego niepokoju? Może działo się to skutkiem wielkiego gorąca? bo dzień był istotnie niezmiernie upalny. To ostatnie przypuszczenie zdało się nam najprawdopodobniejszem, to też przystąpiliśmy do ścinania sykomoru.

Ale zaledwie uderzył Paweł z dziesięć razy siekierą o korę drzewa, gdyśmy usłyszeli dziwny szmer, podobny do mruczenia. Mruczenie to miało w sobie coś tak okropnego, że stanęliśmy jak wryci. Widocznie pochodziło od jakiegoś drapieżnego zwierzęcia. Ale gdzie się ono znajdowało? nie mogliśmy się domyślić. W lesie dokoła nic widać nie było. Wtem znowu ponowiło się mruczenie, zdawało się ono wychodzić z pod ziemi, lecz nie, wyraźnie wychodziło z tegoż samego drzewa, któreśmy ścinali.

— Panie! zawołał Paweł, to niedźwiedź, poznałem po głosie.

— Niedźwiedź! zawołałem, niedźwiedź w drzewie! Anno uciekaj z dziećmi.

Oddaliwszy z trudnością synów, którzy koniecznie chcieli pozostać, przystąpiliśmy z Pawłem do narady, jakim sposobem pozbyć się nieproszonego gościa. Zatknąć otwór—było niepodobieństwem, brakło nam do tego i matarjałów i czasu. Stanęliśmy tedy przy drzewie, ja z karabinem, Paweł z siekierą, przygotowani uderzyć natychmiast skoro się tylko głowa pokaże. Ale jakież było nasze zdziwienie, gdyśmy ujrzeli tylko bezkształtną massę sierci czarnej; widocznie cofał się tyłem. Nie namyślając się długo, strzeliłem, w chwili gdy nogę pokazał, a jednocześnie Paweł wymierzył mu potężny raz siekierą. Jednak, zamiast spaść na ziemię, znowu wlazł w drzewo.

Miałżeby w wydrążeniu się obrócić i wyleść głową naprzód? A w takim razie, co począć? Karabin mój nie był nabity, a Paweł bardzo łatwo mógł chybić. Tymczasem wzrok padł przypadkiem na oba nasze skórzane palta, leżące na ziemi, które zwinięte w jeden pakiet, mogłyby wybornie zatknąć otwór. Położyłem tedy karabin, i porwawszy szybko, przy pomocy Pawła zatknąłem w mgnieniu oka ów złowrogi otwór. Przy tej czynności zauważaliśmy, że wewnętrzne ściany drzewa były skrwawione niedźwiedź więc był raniony, a zatem podług wszelkiego prawdopodobieństwa, nie pokaże się tak rychło. Korzystając z tego jeden z nas pozostał na straży, drugi pobiegł szukać wielkich kamieni, któremiśmy także otwór założyli. Jednocześnie obiegliśmy kilkakrotnie drzewo szukając innego otworu. Ale prócz małej dziury, którą pszczoły wlatywały, nie było żadnego. Mieliśmy tym sposobem niedźwiedzia ujętego jakby w klatkę.

Ponieważ niebezpieczeństwo minęło, pobiegłem na łąkę, gdzie żona z dziećmi w niepokoju nas oczekiwała, i opowiedziałem im o tem cośmy zrobili. Witold i Boleś, uszczęśliwieni do najwyższego stopnia, prosili mnie abym pozwolił im towarzyszyć sobie do sykomoru; na co przystałem.

Mieliśmy wprawdzie niedźwiedzia, ale jak go ztamtąd wydobyć? Wypuścić go żywego było nie podobieństwem, był to bowiem niedźwiedź czarny, a więc najniebezpieczniejszy. Zamorzyć go w drzewie, także niepodobna, bo zjadłby wszystek miód, jeżeli dotąd jeszcze nie uczynił tego. Co począć?

— Wiesz co Pawle, rzekłem, jestem prawie pewny, że ten szanowny amator miodu osunął się na spód drzewa: zrób niewielki otwor w drzewie, a może uda się mi poczęstować go kulką.

Otwór był zrobiony, ale niedźwiedzia, wcale widać nie było. Widocznie znajdował się w górnej części wydrążenia.

— Trzeba go ztamtąd wykurzyć, rzekł Paweł, to go zmusi zejść na dół. Odsunąwszy tedy powoli swoje palta, narzucaliśmy do drzewa suchych gałęzi oraz liści i mchu, poczem podłożyliśmy ogień, i odrzucając zupełnie palta, aby się nie spaliły, szczelnie zatkaliśmy otwór kamieniami.

W kilka chwil potem dym począł wychodzić przez dziurę, a przestraszone pszczoły sypnęły się tłumnie ze swego gniazda. Niedźwiedź znowu zamruczał, ale tym razem już w górnej części wydrążenia. Mruczenie to zrazu podobne było do przytłumionego kaszlu, poczem zamieniło się niby w łkanie żałosne, nakoniec wszystko ucichło. Wreszcie usłyszeliśmy głuchy łoskot: niedźwiedź spadł na spód sykomoru.

Zapewniwszy się, że istotnie już nie żył, wyciągnęliśmy go z drzewa, a Paweł dla większego bezpieczeństwa, rozciął mu łeb siekierą. *(d. c. n.)*

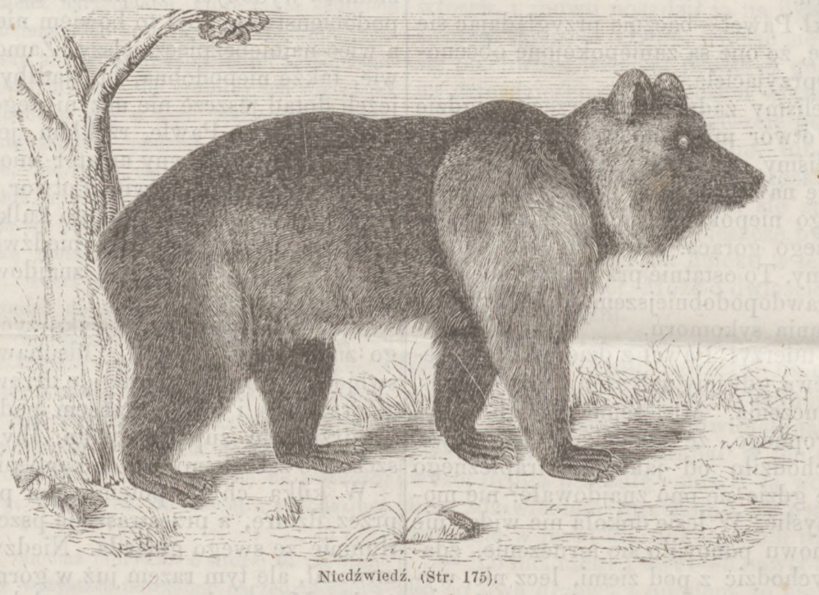
ROZMAITOŚCI.

— **Zagonowa szlachta**. Komuż z czytelników naszych nie znaną jest, przynajmniej z opisu, nasza szlachta zagonowa? Nazwa jej pochodzi, od niewielkich zagonów roli, które z ojca przechodząc na syna, coraz drobniejszym ulegają podziałom, tak, że w wielu miejscach szlachtę tego rodzaju, nie już zagonową, ale raczej skibową zwaćby należało.

Skutkiem takiego podziału, wielu z tėj szlachty, nie mając z roli utrzymania, sprzedaje swe drobne działy rolne i udaje się do dworów możniejszej szlachty na służbę, drudzy udają się na naukę do różnych rzemiosł, inni wstępują do stanu duchownego, a pozostali wreszcie, nabywając zagon po zagonie od tych co ze wsi wychodzą, przychodzą do lepszego bytu.

Ta drobna szlachta, prowadzi nader skromne życie, mieszka w ubogich chatkach, i żadnego prawie nie posiada ukształcenia, gdyż po wsiach nawet ludnych, zaledwie kilka znajduje się osób, umiejących czytać i pisać po polsku i to bardzo słabo. Rzadko się trafi szlachcic z wyższem ukształceniem, chyba jaki przybysz, lub posiadacz obszerniejszej *fortuny* (tym to wyrazem, szlachta zagonowa mianuje swoje mienie). Szlachta zagonowa jest jednak gorliwą w religji, posiada pewną ambicją, jest butną i zarozumiałą. Przedewszystkiem zaś, ma ten wielki narów, że o najmniejszą bagatelę, processuje się wzajemnie, częstokroć do zupełnego zbiedzenia, aż do sprzedania ostatniej skiby.

Pomiędzy to taką Szlachtę w Powiecie Bialskim niedaleko miasteczka Piszczaca udałem się w roku 1865 jesienią późną, w czynności rządowej. Przybyłem wieczorem do wsi, mającej parę set domów i osad. Przy drodze, w jednem podworzu, spostrzegłem na ziemi ogromne ognisko, pod gołem niebem, obstawione kilkunastu wielkiemi garnkami żelaznemi (saganami) przy których stało kilkunastu braci szlachty z wielkiemi w ręku warzęchwiami. Dowiedziałem się, że w tym domu, u sołtysa, odbywało się wesele, na które do stu osób z tejże i przyległych wsi, kuzynów i przyjaciół było zaproszonych, a na podworzu, obiad weselny, gotowała Szlachta. Zajechawszy zatem do sołtysa, zastałem tam kilkunastu Szlachty dobrze podochoconych. Wiedziałem że w tym dniu nic nie zrobię; dla tego chciałem popaść konie i wracać do domu. Lecz Szlachta nie chciała nawet słuchać o tém i pomimo mego błagania i przekładań, że wypada mi do domu wracać, zabrali mi konie i przystąpili zaraz do traktamentu, którego w każdej podobnej okoliczności, Szlachta rada używa, dla nabrania aminuszu. Skutkiem czego, coraz to więcej gości przybywało. Wkrótce w chacie sołtysa i jego sąsiada, naprzeciwko, pozastawiano stoły, około których na pniach pokładziono tarcice do siedzenia, postawiono kilka butelek z naturalną wódką i podejrzanym arakiem dla dostojniejszych gości; postawiono na zakąskę misę pokrajanej w kostkę słoniny i wieprzowiny pływającej w tłustości, nakrajano ogromną ilość chleba, bułek i położono kilka widelców dla państwa młodych i dla nas około młodéj pary siedzących, reszta gości używała zamiast widelców, pięciu palców własnéj ręki. Będąc pierwszy raz na podóbnej uczcie, chciałem rejterować od jadła i picia, wymawiając się, że trunków nie pijam, a do jedzenia nie mam apetytu. Ale gdzie tam, huknięto zaraz na mnie ze wszystkich stron: ,,kiedyś acpan wlazł między wrony, to tak krakaj jak i ony! Albo to my co, nie bracia Szlachta! co asan pogardzasz? nasa fortuna choć nie seroka, ale głęboka i wysoka", i zaczęto mnie całusami z wszech stron obsypywać, i ściskać, skutkiem czego, tak twarz moja jako i garderoba zostały zupełnie obtłuszczone. Nie było rady, musiałem zostać, musiałem podejrzany arak pić, jeść słoninę maczaną w tłustości, następnie barszcz, groch, rosół i mięso. Mając zaś przy stole z jednej strony nowożeńców, a z drugiej, rodziców tychże, w pogadance z niemi skracałem sobie godziny niewolniczego siedzenia, odpędzałem natrętów zniewalających do jedzenia, przeplatanego ciągłemi haustami gorzałki i araku. Nareszcie ozwały się skrzypki, ozwał się poeta-śpiewak, pożądany gość na weselu, który śpiewając ochrzypłym i fałszywym głosem, krakowiaki, nie bardzo skromnej treści, bawił i rozweselał całe grono, które wychodząc parami z za stołu i kolejno tańcząc poloneza, zakończyło obiad. Kontent byłem, że przynajmniej, chociaż podstępem będę mógł czmychnąć do domu, ale gdzie tam. W obszernej i zimnej sieni, bez podłogi, na ubitej glinie, przygotowano tańce. Musiałem tam tańczyć i uczestniczyć do godziny 3-ej rano. Po czem goście rozeszli się, a w chacie, o jednej stancyi, przygotowano nocleg. Nie chcąc przeszkadzać w uścielaniu słomy na legowisko, wybiegłem rozmarzony na drogę, a wróciwszy do chaty, zastałem familią Sołtysa, klęczącą przy pacierzu. Pana młodego nie było, gdyż jak się później dowiedziałem, obrażony o coś, udał się do swojej chaty. Pannę młodą, córkę Sołtysa, zastałem rozbierającą się z ślubnych sukni, która po rozebraniu się, wlazła na piec, zajmujący po chatach podobnych nie pośledni kawał miejsca i służący za sypialnią w zimie. Tam to udała się na spoczynek z najzimniejszą prozą. Nazajutrz rano, gdy panna młoda zsuwała się z swej sypialni, podstawiono jej kołyskę dziecinną, w którą ona zstąpiła. Jest to zabobon, dla zjednania sobie błogosławieństwa w dziatkach.



Niedźwiedź. (Str. 175).

Wkrótce i ja wstałem, a nie czekając na śniadanie, niewyspany, widząc że się znów zanosi na podobną ucztę, co miało to trwać trzy dni, korzystając z wytrzeźwiónych nieco umysłów starszych z gromady, i dawszy słowo, że nazajutrz na konkluzją przyjadę niezawodnie, wypiwszy na drogę przymusowo kieliszek araku, udałem się do domu, gdzie dopiero za dni kilka, przyszedłem do normalnego stanu zdrowia.

ANEGDOTA.

Pewien chciwy kolonista zakradł się do stodoły swego sąsiada po kapustę, gdzie już wyciętą leżała—a której niestety właściciel pilnował. Złodziej ów o niczem nie wiedząc, wziąwszy worek zaczął w niego kłaść kapustę, licząc: jedna, druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta,—następną zaś główkę odrzucił na bok, rzekłszy i siódme: nie kradnij!—i znów tak samo liczył, dopóki worka nie napełnił. Gdy chciał odchodzić, właściciel strzegący kapusty, który to wszystko widział, wypadł z ukrycia, a ująwszy złodzieja za kołnierz, zaczął kijem okładać, licząc, jeden, dwa, trzy, cztery, następnie kij odłożył na bok, rzekłszy, piąte: nie zabijaj!—i tak ciągle powtarzał. Wreszcie po zadosyćuczynieniu, puścił złodzieja, który też korzystając ze sposobności, uciekł ze stodoły.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.